



LOS Y

TEARLINGU

ERIKA
JOHANSEN

Erika Johansen "Losy Tearlingu" - fragment

MAT



Sierota

Glace-Vert było stracone na długo przed objęciem władzy przez Szkarłatną Królową. Była to zapomniana tajga leżąca w cieniu gór Fairwitch, na której kamienistych równinach tylko gdzieś tam widać było resztki traw, a położone tam nieliczne wioski były raczej skupiskami chat wśród bagien. Niewielu zapuszczało się na północ od Cite Marche, chyba że nie mieli innego wyjścia. Życie na równinach było twarde. Każdego lata tamtejsi chłopcy mdleli z gorąca, a każdej zimy drętwieli z zimna i głodowali.

Jednak tego roku mieli nowy powód do strachu. Zziębnięte wioski zostały szczelnie ogrodzone, a za tymi ogrodzeniami strażnicy – wyglądający niczym własne cienie – czuwali bez snu z nożami na kolanach. Chmury przesłoniły księżyc, choć jeszcze nie zwiastowały zimowych śniegów w tej okolicy. U podnóża gór słychać było wycie wilków, które w niezrozumiałym języku ubolewały nad niedostatkiem pożywienia. Wkrótce desperacja popchnie watahy na południe, do borów, gdzie zaczną polować na wiewiórki i gronostaje, a czasem na małe dzieci, które nierozsądnie zapuszczają się w zimowy las. Teraz jednak, ni z tego, ni z owego, dziesięć po drugiej wilki zamilkły. W Glace-Vert słychać było jedynie zawodzenie wiatru.

W cieniu u podnóża gór poruszyła się czarna postać człowieka wspinającego się na strome zbocze. Szedł pewnie, lecz ostrożnie, jak gdyby spodziewał się zagrożenia. Pomijając przyspieszony, płytki oddech, mężczyzna był niewidoczny – niczym zwyczajny cień wśród skał. Przebył Zagajnik Ethana, zatrzymawszy się tam na dwa dni, po czym ruszył na północ. W trakcie pobytu w wiosce zasłyszał mnóstwo opowieści o pladze, która prześladowała jej mieszkańców: nocami ktoś porwał młodych. W wyższych partiach gór temu komuś już dawno nadano imię: nazywano go Sierotą. Na terenach Glace-Vert wcześniej nikt nie musiał się tym martwić, teraz jednak dzieci znikwały w miejscach położonych coraz dalej na południe. Po dwóch dniach mężczyzna miał już dość opowieści. Mieszkańcy wioski nazywali to stworzenie Sierotą, ale on znał jego prawdziwe imię i choć był szybki jak gazela, nie był w stanie uciec przed poczuciem odpowiedzialności.

Jest wolny, pomyślał ponuro Duch, przedzierając się przez cierniste krzewy na zboczu. Nie skończyłem z nim, kiedy miałem okazję, a teraz jest wolny.

Ta świadomość nie dawała mu spokoju. Przez wiele lat ignorował obecność Rowa Finna w górach Fairwitch, bo Row był pod kontrolą. Każdego roku zniknęło jakieś dziecko – to prawdziwe nieszczęście, ale wokół działy się gorsze rzeczy, z którymi trzeba było sobie poradzić. Na przykład z Tearlingu za przyzwoleniem władz co miesiąc zniknęło pięćdziesięcioro. Nawet przed nastaniem odrażających czasów zsyłki Tearling zawsze był jak nieobliczalne dziecko wymagające nieustannej opieki. Raleighowie zachowywali się albo obojętnie, albo drapieżnie, szlachta walczyła o najmniejsze drobizgi, a ludzie głodowali. Przez trzy długie stulecia Duch patrzył, jak marzenie Williama Teara grzęźnie w coraz głębszym bagnie. Żaden z mieszkańców Tearlingu nie dostrzegł już lepszego świata Teara, a tym bardziej nie miał w sobie odwagi, by go szukać. Wiedzieli tylko Duch i jego ludzie; tylko oni pamiętali. Nie postarzel się, nie umarli. Duch zaczął kraść dla zabawy. Dręczenie tych najgorszych z rodu Raleighów sprawiało mu pewną przyjemność. Dla zabicia czasu obserwował potomków Teara, usiłując przekonać samego siebie, że to może mieć jakieś znaczenie. Łatwo było ich odróżnić, gdyż prędzej czy później wykazywali określone cechy: uczciwość, inteligencję i niezłomną stanowczość. Niektórych Tearów powieszono za zdradę, ale nawet kiedy mieli pętlę na szyi, otaczała ich charakterystyczna dla rodu subtelna aura szlachetności. Duch potrafił rozpoznać tę szlachetność – taka sama aura otaczała Williama Teara. Ten magnetyzm przekonał niemal dwa tysiące ludzi, by ruszyli za nim w nieznaną przez ocean. Nawet ta suka z Mort, choć niedoskonała, miała w sobie odrobinę tego czaru. Ale Szkarłatna Królowa nie miała dzieci. Duch długo był przekonany, że ród Tearów przepadł.

A potem pojawiła się dziewczyna.

Duch syknął, gdy cierń ukłuł go w palec. Skóra pozostała nienaruszona – nie krwawił od wieków. Wielokrotnie próbował ze sobą skończyć, ale uznał, że to na nic. I on, i Row zostali ukarani, ale teraz wiedział, że był ślepy. Rowland Finn ani przez chwilę nie przestał knuć. On też wyczekiwał tej dziewczyny.

Była pierwszą z rodu Raleighów, która nie wychowała się w twierdzy. Duch często ją obserwował; pojawiał się przy chacie w wolnych chwilach, a czasem nawet gdy miał co robić. Z początku nie był w stanie wiele powiedzieć. Kelsea Raleigh była cichym, samokrytycznym dzieckiem. Edukował ją przede wszystkim ten stary babsztyl lady Glynn, ale Duch odnosił wrażenie, że osobowość dziewczyny jest po cichu, lecz niezaprzeczalnie kształtowana przez Bartholemew, dawnego członka Straży Królewskiej. W miarę jak dziewczyna dorastała, otaczała się książkami i właśnie to ostatecznie przekonało Ducha, że jest warta szczególnej uwagi. Jego wspomnienia o Tearach nieustannie bledły, matowiały i zacierały się. Ale jedno pamiętał: Tearowie zawsze kochali książki. Pewnego dnia obserwował dziewczynę, gdy siedziała przed chatą pod drzewem i przez cztery czy pięć godzin przeczytała od deski do deski opasłe tomisko. Duch ukrywał się w lesie jakieś trzydzieści stóp dalej, ale potrafił stwierdzić, że ktoś jest czymś pochłonięty. Mógłby podkraść się wtedy bliżej, usiąść naprzeciwko i nawet by go nie zauważyła. Teraz już wiedział, że była jak wszyscy Tearowie. Życie wokół niej było dla niej tak samo ważne jak życie wewnętrzne.

Od tej pory w pobliżu chaty zawsze był któryś z jego ludzi. Jeśli jakiś przybysz wykazywał zbyt duże zainteresowanie jej mieszkańcami – a kilka razy Bartholemew był śledzony, kiedy wracał z targu – nikt już nigdy o nim nie usłyszał. Duch nawet nie był w stanie stwierdzić, dlaczego tak bardzo się starał. Po prostu miał przeczucie, a William Tear od początku wbijał im do głowy, że przeczucia to nie wymysł, dlatego należy im ufać. Duch czuł, że dziewczyna jest inna. Ważna.

„Może jest potomkinią Teara”, pewnej nocy powiedział swoim ludziom przy ognisku. „Może”.

Istniała taka możliwość. W straży Elyssy było kilku mężczyzn, których pochodzenia nie znał. Bez względu na wszystko dziewczynę należało obserwować. Z biegiem lat Duch nieco zmienił taktykę. Gdy tylko z poczyńców Thomasa Raleigha dało się wywnioskować, że zawiązał sojusz z którymś

z potężnych arystokratów Tearu, Duch skupiał całą swoją uwagę na tym arystokracie, rabował wozy i składy, kradł zbiory i znikał w ciemności. Kiedy już dostatecznie złupił takiego szlachcica pod okiem Thomasa, wszelkie potencjalne sojusze szybko przepadały. Jednocześnie Duch zaczął budować swoje zaplecze w Mortmesne, tuż pod nosem Szkarłatnej Królowej. Wiedział, że jeśli dziewczyna zasiądzie na tronie, jej pierwszym sprawdzianem będzie rozprawienie się ze zsyłką. Mortmesne stało otworem przed każdym, kto wiedział, jak wykorzystać niepokoje społeczne, a po latach wytrwałych starań szykowało się solidny bunt. Przez lata Duch miał tyle rzeczy na głowie, że pozwolił, by Row Finn mu się wyślizgnął.

Nagle wśród skał pojawiła się jakaś sylwetka i Duch się zatrzymał. Każdy pomyślałby, że to tylko ciemny kształt, ale Duch, który miał talent do widzenia w ciemności, rozpoznał w nim dziecko, pięcio- lub sześcioletniego chłopca. Miał na sobie łachmany i był blady z zimna. Spojrzenie jego ciemnych oczu było nieprzeniknione. Szedł bosy.

Duch na chwilę utkwiał w nim wzrok, a widok mroził go do szpiku kości.

Nie skończyłem z nim, gdy mogłem to zrobić.

Chłopiec rzucił się naprzód, a Duch prychnął na niego jak kot. Oczy dziecka zapłonęły z wyczekiwania, zamglily się nagle i chłopiec wpatrzył się w Ducha nieprzytomnie.

- Mną się nie pożywisz - warknął Duch. - Idź po swojego pana.

Chłopiec wpatrywał się w niego jeszcze przez chwilę, po czym zniknął wśród skał. Duch zasłonił dłonią oczy i poczuł, jakby świat wokół niego zaczął krążyć niczym szalony, mroczny wir. Jego przekonanie wykrystalizowało się, gdy dziewczyna zniszczyła most Nowolondyński, lecz od tamtej pory nie opuszczały go wątpliwości. Była mortmesneńskim więźniem, a w ostatniej wiadomości Howell przekazał mu, że zamierzają przetransportować ją do Demesne. Prawdziwa Królowa w końcu przybyła, ale było za późno.

Coś schodziło po zboczu. Zaledwie smuga w ciemności, ale minęło wiele czasu, od kiedy ktoś zdołał podkraść się do Ducha. Stanął w gotowości i czekał. Ostatni raz rozmawiali ze sobą... właściwie kiedy? Ponad dwa stulecia temu, gdy na tronie zasiadał jeszcze James Raleigh. Duch chciał wtedy sprawdzić, czy Row jest w stanie go zabić. Co prawda spotkanie przerodziło się w ostrą bijatykę, ale żaden z nich nie uronił ani kropli krwi.

Byliśmy przyjaciółmi, nagle przypomniał sobie Duch. I to dobrymi.

Ale te dni przeminęły już kilka żywotów temu. Gdy czarny kształt przybrał postać mężczyzny, Duch zastygł w bezruchu. Mieszkańcy Fairwitch stworzyli mnóstwo legend na temat Sieroty, ale przynajmniej jedna z nich była prawdziwa. Powiadali, że ten stwór ma dwa oblicza: jasne i mroczne. Które Duch zobaczy dziś?

Jasne. Odwrócił się do niego twarzą, którą Duch znał. Była blada i despotyczna. A także przebiegła. Row zawsze potrafił każdego przegadać. Dawno temu namówił Ducha do podjęcia najgorszej decyzji w życiu. Patrzyli na siebie w milczeniu na tym wietrznym zboczu, a przed nimi rozciągało się całe Mortmesne.

- Czego chcesz? - spytał Row.

- Chcę wybić ci to z głowy. - Duch wskazał na stok poniżej. - Wiesz, ta droga, którą obrałeś, nie przyniesie niczego dobrego nawet tobie.

- Skąd wiesz, jaką drogę obrałem?

- Zmierzasz na południe, Row. Widziałem, jak twoi podopieczni podkradali się do osad poniżej Glace-Vert. Nie wiem, do czego zmierzasz, ale mieszkańcy mortmesneńskich wiosek nie mogą przecież w tym uczestniczyć. Może zostawisz ich w spokoju?

- Moje dzieci są głodne.

Duch wyczuł ruch po prawej stronie. Tym razem była to może dziesięcioletnia dziewczynka, która przysiadła na skale i przyglądała im się, nie mrugnawszy okiem.

- Ile masz dzieci, Row?

- Wkrótce będę miał całe zastępy.

Duch zamarł, a mroczna otchłań, którą w sobie miał, otworzyła się nieco szerzej.

- I co wtedy?

Row nie odpowiedział, lecz szeroko się uśmiechnął. W tym uśmiechu nie było niczego ludzkiego, a Duch zwalczył pokusę, by się cofnąć.

- Już raz zrujnowałeś królestwo Teara, Row. Naprawdę musisz zrobić to jeszcze raz?

- Pomogłem zrujnować Ziemię Teara, przyjacielu. To było tak dawno, że zapomniałeś, czy po prostu sam siebie rozgrzeszasz?

- Czuję się odpowiedzialny za własne grzechy. Staram się je naprawić.

- I jak ci idzie? - Row wskazał ręką na ziemie leżące poniżej. - Mortmesne to otwarty ściek. Tearling nieustannie tonie.

- Nieprawda. Znalazł oparcie.

- W tej dziewczynie? - Row roześmiał się nieszczerze i posepnie. - Daj spokój, Gav. Dziewczyna ma po prostu lojalną świętą i dar do zjednywania sobie ludzi.

- Nie oszukasz mnie, Row. Ty też się jej obawiasz.

Row długo milczał, po czym spytał:

- Co tu robisz, Gav?

- Służę dziewczynie.

- Och! Czyli po raz kolejny postanowiłeś służyć innemu panu.

Zabolało, ale Duch nie dał się sprowokować.

- Ma twój szafir, Row. Ma szafir Teara, w jej żyłach płynie jego krew. Była tam.

Row zawahał się, lecz jego wzrok był nieprzenikniony.

- Gdzie była?

- W przeszłości. Widziała Lily, widziała Teara.

- Skąd wiesz?

- Powiedziała mi, a nie kłamie. To tylko kwestia czasu, że dotrze do Jonathana. I do nas.

Row nie odpowiedział. Błądził wzrokiem wśród skał. Duch, który wyczuł, że w końcu przebił się przez mur obojętności, przełknął gniew i postanowił przeciw naprzód.

- Nie rozumiesz, że to wszystko zmieni?

- Nie zmieni niczego.

Duch westchnął. Zostawił dla siebie ostatnią informację, schował ją głęboko i postanowił wykorzystać w ostateczności. Byłaby to desperacka zagrywka, po której Row wyruszyłby na polowanie. Ale i czasy były desperackie. Królowa została jeńcem Mort, a Duch obawiał się, że pod jej nieobecność Tearling rozpadnie się bez względu na to, co zrobi Row.

- Ktoś widział koronę.

Row gwałtownie uniósł głowę, jak pies, który zwęszył coś w powietrzu.

- Koronę?

- Tak.

- Gdzie?

Duch nie odpowiedział.

- Skąd wiesz, że to nie korona Raleighów?

- Bo koronę Raleighów zniszczyłem wiele lat temu, żeby Thomas nigdy nie mógł jej włożyć. Mówię o prawdziwej koronie, Row.

- Mojej.

Duch zaczął tracić nadzieję. Kiedyś pomógł temu człowiekowi, w dodatku bardzo ochoczo. Obaj popełniali straszliwe zbrodnie, ale jedynie Duch za nie odpokutował. Row tylko brał i nie oglądał się za siebie. Przez chwilę Duch zastanawiał się, dlaczego w ogóle zadał sobie trud, żeby tu przyjść, ale odepchnął od siebie tę myśl i parł dalej.

- Row, gdybyśmy zdobyli tę koronę, moglibyśmy oddać ją dziewczynie i wszystko naprawić. Odkupić winy z przeszłości.

- Całe życie dręczą cię wyrzuty sumienia i zakładasz, że pozostali czują się tak samo. Nie próbuj mi wmówić, że mam sumienie. Jeżeli moja korona gdzieś tam jest, to ją odzyskam.

- I co potem? Żadne królestwo świata nie zmieni tego, co nam się przydarzyło.

- Och, teraz rozumiem. Myślisz, że dziewczyna może z tobą skończyć.

- Istnieje taka możliwość.

- Ale czy to zrobi? - Usta Rowa wykrzywiły się w złośliwym uśmiechu. - Łatwo ją rozszyfrować, a w dodatku zadurzyła się w tobie.

- Widzi we mnie tylko młodego przystojniaka.

- Po co w zasadzie tu przyszedłeś? - spytał Row, a gdy podszedł, Duch zauważył w jego oczach czerwony błysk. - Na co liczyłeś?

- Liczyłem na to, że dojdziemy do porozumienia. Pomóż mi znaleźć koronę. Pomóż mi naprawić Tearling. Nigdy nie jest za późno, Row. Nawet teraz.

- Za późno na co?

- Na odkupienie naszych win.

- Nie jestem niczemu winien! - syknął Row, a Duch z zadowoleniem stwierdził, że trafił w czuły punkt. - Po prostu chciałem, żeby było lepiej.

- A Katie?

- Powinieneś już iść. - Oczy Rowa płonęły, a jego twarz pobiadła.

Przynajmniej wciąż ma uczucia, pomyślał Duch, a potem zdał sobie sprawę, jak niewiele to znaczyło. Na tym świecie nie istniały uczucia, które mogłyby przewyższyć głód Rowa.

- A jeśli nie odejdę?

- Naślę na ciebie moje dzieci.

Duch zerknął na dziewczynkę, która przysiadła na pobliskiej skale. Jej oczy płonęły niemal gorączkowo i chcąc nie chcąc, poczuł się nieswojo. Niezwykle zaniepokoiły go bosa stopy dziecka i palce przyciśnięte do lodowatej skały, ale nie wiedział dlaczego.

- Czym one są, Row?

- Nigdy nie lubiłeś czytać, Gav. To prastara magia z czasów sprzed Przepawy. Starsza nawet od Chrystusa. To pradawne stworzenia, ale poddają się mojej woli.

- I wypuszczasz je swobodnie na tereny Glace-Vert?

- Mają do tego takie samo prawo jak każde inne zwierzę.

To stwierdzenie tak bardzo pasowało do Rowa, że Duch niemal się roześmiał. Poczuł się, jakby znaleźli się znowu na brzegu Caddell - jeden miał czternaście, drugi piętnaście lat - i wędkowali.

- Odejdź. Natychmiast. - Row mówił niskim, zjadliwym głosem, a skórę miał tak bladą, jakby ktoś ją wybielił. - Nie wchodź mi w drogę.

- Bo co, Row? Pragnę śmierci.

- A pragniesz też śmierci innych? Dziewczyny?

Duch zawahał się, a Row się uśmiechnął.

- Uwolniła mnie, Gav. Zdjęła ze mnie klątwę. Nie jest mi już potrzebna. Jeżeli wejdiesz mi w drogę albo jeżeli *ona* wejdzie mi w drogę, to z nią skończę. To będzie najłatwiejsze zadanie w moim życiu.

- Row. - Nagle uderzył w błagalny ton. - Nie rób tego. Pomyśl o Jonathanie.

- Jonathan nie żyje, Gav. Pomogłeś mi go zabić.

Duch odchylił się i obrócił. Row wyleciał w powietrze i wpadł na pobliską skałę, ale Duch wiedział, że gdy Row wstanie, nie będzie nawet podrapany.

- Och, Gav - szepnął Row. - Myślałem, że przerabialiśmy to już dostatecznie wiele razy.

- A jednak za mało.

- Ty budujesz swój nowy świat, ja swój. Zobaczymy, kto zajdzie wyżej.

- A korona?

- *Moja* korona. Jeżeli gdzieś jest, to ją zdobędę.

Duch odwrócił się i potknął. Niemal przewrócił się na zboczu. Gdy uszedł dziesięć kroków, zdał sobie sprawę, że ma zamglony wzrok i wilgotne oczy. Przeszył go wiatr. Gdy myślał o Tearze, nie był w stanie powstrzymać łez, więc postanowił skoncentrować się na tym, co miał przed sobą.

Ksiądz zniknął ponad miesiąc temu, a ślady po nim zaczęły się zacierać. Ludzie Ducha znajdowali się na swoich posterunkach w północnym i środkowym Mortmesne, ale teraz będzie musiał część z nich wycofać. Leara, Morgana, może Howella. Duch wiele czasu poświęcił na zorganizowanie rebelii, która szalała właśnie w Mortmesne, ale korona była najważniejsza. Wszyscy będą musieli jej szukać. I jeszcze dziewczyna...

Poczuł czyjś wzrok na swoich plecach, odwrócił się i chłodny wiatr przeszył go jeszcze bardziej dojmująco, aż do szpiku kości. Na zboczu za jego plecami było pełno małych dzieci o bladych twarzach i ciemnych oczach. Były bose.

- O, Boże - mruknął. To była noc zjaw, a on usłyszał głos Jonathana Teara, odległy o całe stulecia, a jednak bardzo bliski.

„Nie zawiedziemy, Gav. Nie może być inaczej”.

- A jednak zawiedliśmy - wyszeptał Duch. - Dobry Boże, tak bardzo zawiedliśmy.

Odwrócił się i zaczął schodzić dalej, szybko i nieuważnie, niemal biegiem. Parę razy prawie stracił równowagę, ale jak najprędzej chciał znaleźć się na dole. Kiedy już tam dotarł, pobiegł jeszcze szybciej ku zagajnikowi, w którym wcześniej spętał konia.

Wysoko na stoku w milczeniu stały dzieci niczym szeroka fala pokrywająca zbocze. Oddychały spokojnie i chrapliwie, a odgłos ten odbijał się echem od skał, lecz z dziecięcych ust nie wydobywały się obłoczki pary. Row Finn stał na przedzie i obserwował małą postać w dole. Kiedyś nie było człowieka, którym byłoby łatwiej manipulować niż Gavinem. Te czasy dawno minęły i tamtego Gava już nie było, jego prawdziwa tożsamość zatopiała się w legendach o kimś, kogo nazywano Duchem. Ten człowiek mógłby narobić poważnych kłopotów, ale Row był dobrej myśli, gdy spoglądał na blade ocean otaczających go dzieci. Zawsze robiły to, co im kazał, i były wiecznie, nieustająco głodne. Czekały tylko na jego rozkaz.

- Korona - szepnął, czując, jak wzbiera w nim ekscytacja, którą odczuwał dawno temu. Rozpocząło się polowanie, którego zwieńczeniem była obietnica krwi. Czekał na to niemal trzysta lat. -
Ruszajcie.